Nr. 280. Lwów — Czwartek dnia 6 Grudnia. Rok 1894.

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 5 „
Numera z poprzednich miesięcy po 10 ct.

„Przegląd“ jest do nabycia we Lwowie w obu Biurach sprzedaży dzienników i we wszystkich większych trafikach.

PRZEGLĄD
POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena prenum. na prowincyi.
Miesięczna złr. 1·10 | Półroczna
Kwartalna „ 3·— | Roczna
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Prenumeratę należy przesyłać przekazami. Do przesyłanej w kopertach pieniężnych należy dodawać 5 ct.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . 4 „
Korrespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . 6 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . . 20 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Mikołaja — Kateriny
Jutro: św. Ambrożego — Klymenta

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca Ludwik Masłowski.

Wschód słońca g. 7 m. 41
Zachód „ 4 „ 0

Długość dnia g. 8 m. 19
Ubyło dnia od wczoraj 1 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 6 grudnia.

Jeśli zebrać wszystkie wiadomości dziennikarskie z Turcyi, to powstanie całość, świadcząca o bardzo kłopotliwem położeniu tego państwa, które — zdaniem pism angielskich — znowu się stało „chorym człowiekiem“. Właśnie, jak nad łożem chorego, zebrało się w niedzielę w Sofii zgromadzenie „ligi macedońskiej“ i uchwaliło przypomnieć mocarstwom, podpisanym na berlińskim traktacie, że Porta nietylko dotąd nie wykonała postanowień tego traktatu, odnoszących się do Macedonii, ale owszem wprowadziła do tego kraju jeszcze większy chaos, ucisk, gwałty urzędników i straszną niedolę wszystkich tamtejszych plemion chrześcijańskich, więc Rumunów, Serbów, Bułgarów, Greków i Albańczyków. Niedawno odbył się w Paryżu wiec propagatorów związku bałkańskiego i tam również długo narzekano na macedońskie stosunki, a w końcu postanowiono dążyć wszelkimi sposobami do utworzenia z tego kraju osobnego państewka, któreby pozostawało tylko w wassalnym stosunku do Turcyi. Trudno wyobrazić, jakby się pogodziły ze sobą w takiem państewku te wszystkie narodowości, które tam mieszkają pod tureckim batem, gdyż dopóki one tylko się dobijają odrębności politycznej, dopóty idą zgodnie. Na niedzielnem zgromadzeniu w Sofii odczytano długą litanię okrucieństw tureckich i wielkiej nieżyczliwości Porty, która jakoby poprostu dąży do tego, aby z Macedonii odbyła się walna emigracya Kuco-Wałachów do Rumunii, Bułgarów do Bułgaryi, Serbów do Serbii i t. d., a kraj pozostałby wyłączną własnością Turków i Czerkiesów. Jakby na potwierdzenie słuszności tych skarg, właśnie zdarzył się w Macedonii taki wypadek: Chłopi z okolic Ziziczy, nękani przez poborców podatkowych, postanowili gromadą udać się do sułtana ze skargą. Po drodze przybyli do pierwszego miasteczka Weleszu, gdzie urzędnicy napadli na nich z baszybożukami, zapędzili do „hanu“, t. j. do zajazdu, zbudowanego tak, że w środku jest zamknięty murami dziedziniec, i właśnie tam zaczęli do nich strzelać z okien. Zabili sześciu, poranili prawie wszystkich. Kiedy wali (gubernator) dowiedział się o tem i chciał śledztwo zrobić, to się okazało, że w całem miasteczku nikt zgoła nie wie, co to byli za napastnicy. Turcy milczą, bo nienawidzą „rajów“ — rajowie milczą, bo się obawiają zemsty urzędników. Są tedy zabici i pokaleczeni, była formalna rzeź w środku miasteczka, lecz nikt o niczem nie wie. To rzeczywiście może być dowodem grozy, jaką roztaczają urzędnicy, jeżdżący z baszybożukami, którzy są tem w chrześcijańskich ziemiach Turcyi, czem kozacy w Polsce.

Jednocześnie donoszą, że Arabowie powstali. Hasło do ruchu rewolucyjnego dało niespokojne plemię Jemen, które już dawno dąży do samodzielności i nieraz sprawiało Porcie wiele kłopotu. Jednakże ponieważ sąsiednie pokolenia zachowywały się spokojnie, przeto Turcya zawsze pokonywała Jemeńczyków. Teraz jest znacznie poważniejsza sprawa. Pojawił się między Arabami rzeczywisty potomek Mahometa, co udowadnia różnymi cudami, a głosi, że dynastya osmańska jest samozwańczą, od proroka nie pochodzi już choćby dlatego, że nie jest arabską, zatem nie ma prawa do godności kalifa (naczelnika wiernych), ani imama (wodza wiernych), ponieważ zaś w koranie powiedziano, iż „czołem wiernych jest imam, on-że kalif,“ przeto Arabowie winni są posłuszeństwo nie sułtanowi, ale temu właśnie potomkowi Mahometa. Nazwał się też imamem, stanął na czele ruchu, przepędził z wielu miejsc władze tureckie i zamierza opanować Mekkę, co mu zapewni ostateczne zwycięstwo, a takie odważne przedsięwzięcie może mu się udać, bo duchowieństwo stoi po jego stronie: jedni ulemowie wierzą w jego pochodzenie od proroka i w jego cuda, inni pragną oderwania Arabii od Turcyi, która nic nie czyni dla tego niegdyś tak ważnego kraju w tej części Azyi.

Wypadki w Armenii władza turecka tłómaczy bardzo korzystnie dla siebie, utrzymuje mianowicie, że jakiś Ormianin Hampartgoum, student medycznej szkoły w Konstantynopolu, puścił się na rozboje, zebrał bandę z 3000 opryszków — Ormian i Kurdów — rabuje wioski, mężczyznom wkłada do wnętrzności naboje dynamitowe, które następnie podpala i tak gubi jeńców, dzieci wbija na pale i niemi znaczy swój krwawy pochód po kraju, a kobiety zabiera do bandy. Więc tureckie wojska, wysłane przeciw niemu, musiały nieraz wypaść z równowagi na widok takich okrucieństw i oddać bandytom równą miarą, w ogóle jednak wprowadziły one ład i bezpieczeństwo. Musi jednak być nieco inaczej, skoro właśnie teraz Ormianie-katolicy wysłali do Papieża deputacyę z prośbą o wstawienie się za nimi u sułtana, gdyż — jak mówią w swej prośbie — wróciły dla nich czasy okrutnego panowania Seldżuków, kiedy to z głów pościnanych układano piramidy. Papież przyjął deputacyę serdecznie i przyrzekł uczynić wszystko możliwe, przedtem jednak wezwał arcybiskupa ormiańskiego ks. Azariana, aby mu nadesłał opis położenia rzeczy.

Tak wszędzie w Turcyi nieład i zaburzenia. A do tego przybywają jeszcze inne kłopoty. Admirał rosyjskiej eskadry morza Śródziemnego, Avellan, będąc niedawno w Konstantynopolu, doręczył wielkiemu wezyrowi żądanie Rosyi, aby Porta dała dla tej eskadry kawał brzegu, gdzieby można było urządzić skład węgla i ostoję dla okrętów. Admirał Avellan wskazał cztery punkta nad brzegami Marmora, dwa na europejskiej, drugie dwa na azyatyckiej stronie, i prosił, aby jeden z tych punktów Porta ustąpiła Rosyi. Wielki wezyr był tak przerażony tem żądaniem, że nie chciał nawet przyjąć noty rosyjskiej, którą mu podał Avellan, i rzekł, że się nie odważy przedstawić tej sprawy sułtanowi. Ale ton admirała stał się nagle tak suchy i stanowczy, że biedny Turczyn przyjął notę rosyjską, lecz co się z nią stało, dotąd nie wiadomo, bo na wszystkie przedstawienia rosyjskiego ambasadora Porta zawsze znajduje jakąś wymówkę. To żądanie petersburskiej dyplomacyi musi niepokoić Turcyę, bo rzeczywiście, po co Rosyi stacye węglowe na Marmorze, skoro jej flota wojenna nie ma prawa przepływać przez to morze? Chyba naprawdę między mocarstwami odbywają się rokowania co do zniesienia uchwały paryskiego traktatu, iż żadna flota wojenna nie może bez specyalnego pozwolenia sułtana wpływać na Bosfor i Dardanelle. Drezdeński tygodnik, poświęcony „Międzynarodowej sztuce militarnej“ zapewnia, że Porta, przerażona dziennikarską dyskusyą o tem, iż postanowienie paryskiego traktatu co do Bosforu i Dardanellów jest przestarzałe i bez szkody dla Anglii może być zniesione, zamierzyła uzupełnić fortyfikacye Bosforu i Konstantynopola według niewykonanych dotąd planów jenerała Brialmonta, lecz musiała zaniechać tego zamiaru, gdyż rosyjski ambasador oświadczył, że takie roboty Rosya będzie uważała za dowód ubliżającej nieufności, na którą nie zasłużyła petersburska dyplomacya, w każdym zaś razie, jeśli Porta ma zbywające pieniądze, to zanim je wyda na fortyfikacye, musi pierwej wypłacić Rosyi resztę wojennego długu za rok 1876—77. Po takiem oświadczeniu p. Nielidowa, Porcie wypadło tylko złożyć ręce i poddać się przeznaczeniu, będącemu religijnym dogmatem islamizmu. Niemieccy pisarze militarni dowodzą jednak, że Porta nie powinna rozpaczać, bo i tak Bosfor jest bardzo dobrze uzbrojony, a po założeniu torpedowych przyrządów, których mnóstwo posiada militarny zarząd turecki, Bosfor będzie nie do przebycia.

W każdym razie, wszystkie kłopoty, które spadły na Turcyę, a najbardziej ów kłopot, sprawiony przez Rosyę tak co do stacyi węglowej, jak co do uzbrojeń bosforskich, nic dobrego nie wróży Turcyi.

Dziś w Berlinie ogromna uroczystość. Z całą wystawnością, w której kocha się cesarz Wilhelm II, poświęcony będzie świeżo zbudowany kosztem ogromnych milionów pałac parlamentu niemieckiego, a potem zaraz mową tronową otwarta będzie jego sesya po przerwie siedmiomiesięcznej. Lecz prasa dość smutnemi uwagami wita ten nowy peryod parlamentaryzmu w gmachu kapiącym od złota, lśniącym marmurami, ozdobionym wewnątrz tłumem posągów i mnóstwem malowideł. Mówi ona, że w niepozornym budynku przy Leipzigerstrasse parlament zjednoczonych Niemiec przeżył swe dni najpiękniejsze, tam fundamenta kładł pod państwową wielkość, tam słuchał Bismarka, Moltkego, Windhorsta i wielu innych znakomitych mężów, a w nowym pałacu cóż go czeka? Oto, na sam początek — ustawa wyjątkowa przeciw propagandzie wywrotu, niezaprzeczenie bardzo potrzebna, ale zła już dlatego, że wyjątkowa, bo to świadczy o chorobie nurtującej organizm społeczny. Choroba niezawodnie jest, lecz nazywać jakąś ustawę złą z tej racyi, że dano jej tytuł wyjątkowej, nie zdaje się nam słusznem. Mieć ją trzeba za normalną i raz na zawsze pogodzić się z myślą, iż nie wolno burzyć ustroju, który odpowiada potrzebom olbrzymiej większości narodu, a wtedy ustawa okaże się nietylko konieczną, ale i zupełnie dobrą. Dalej wspomina prasa berlińska o drugiej z kolei ustawie, z którą rząd wystąpi, a także niewesołej, bo o przekształceniu istniejących w armii półbatalionów w bataliony pełne. Podobno ten projekt już dawno spoczywa w portfelu ministra wojny, ale dotąd nie mógł ujrzeć światła dziennego, bo na to się nie zgadzał Caprivi — i to było jedną z przyczyn jego dymisyi. Ile w tem wszystkiem prawdy, nie wiemy, bo dotąd rząd niczem nie okazał dążności do tak wielkiego powiększenia armii i sądzimy, że ono dziś nie byłoby niczem umotywowane. Zresztą pesymistyczne usposobienie prasy tłómaczy się tem, że nowy kanclerz i nowi ministrowie jeszcze przedstawiają sobą zagadki. W powietrzu czuć jakiś powiew niepomyślny dla ludzi, nawykłych do lekkiego a sutego zarobku na spekulacyach i giełdzie. Spekulacye będą podcięte, jeśli prawodawstwo weźmie w opiekę rzeczywistych producentów, rolników, na co się właśnie zanosi. Mówią także o reformie giełdy. Rzecz więc naturalna, że smutno być musi prasie berlińskiej, której ogromna większość jest ściśle związana z rzeszą spekulantów.

Herostraci.

Piszą nam z Wiednia 4 grudnia:

Wczorajsze posiedzenie Izby poselskiej może pociągnie za sobą skutki, o których się ani śniło młodoczeskim rycerzom obstrukcyi parlamentarnej. Posunęli się oni niebacznie tak daleko, że powstał dylemat: zawieszenia parlamentu centralnego, albo też stanowczej zmiany regulaminu Izby? „Il y a, — powiedział sławny pisarz francuski Tocqueville — dans la constitution de tous les peuples, quelle que soit du reste sa nature, un point où le legislateur est obligé de s'en rapporter au bon sens et à la vertu des citoyens“. (W konstytucyi wszystkich narodów, jakikolwiek zresztą byłby jej rodzaj, jest jeden punkt, w którym prawodawca jest obowiązany odwoływać się do zdrowego rozsądku i do cnoty swoich współobywateli). Tak też regulamin parlamentu austryackiego dotąd nie zawiera żadnego przepisu co do języka obrad. Gdy go uchwalano, wahano się wyraźnie oznaczyć niemiecki język jako urzędowy język parlamentu, bo przypuszczano, że „le bon sens“ skłoni wszystkich posłów — pod zasadniczem zastrzeżeniem równouprawnienia — z praktycznych względów posługiwać się niemieckim. Te optymistyczne przewidywania dopisywały, dopóki nie weszła do Izby frakcya młodoczeska, a więc aż do r. 1891. Odtąd coraz wyraźniej zaznacza się niedostatek regulaminu, jeżeli w ogóle ma istnieć parlament. Na wczorajszem posiedzeniu ta kwestya weszła w nową fazę. Dotąd młodoczesi wygłaszali mowy po czesku, aby przeprzeć równouprawnienie. Wczoraj użyli tego środka wprost celem obstrukcyi, celem uniemożebnienia normalnej pracy parlamentarnej.

Nietylko bowiem nowo wybrany poseł radykalny Raszyn wygłosił długą mowę czeską (może o eksporcie en gros harfiarek z Nechanic?), a drugą mowę poseł Szil w dyskusyi o kodeksie karnym, ale nadto dr. Vaszaty w sposób poprostu cyniczny nadużył wolności przemawiania po czesku jako środka obstrukcyi. Napominany przez marszałka, aby nie odstępował od przedmiotu dyskusyi, p. Vaszaty zaczął natychmiast przemawiać po czesku. To powtórzyło się trzy razy. W ten sposób frakcya młodoczeska mogłaby sobie przywłaszczyć przywilej, którego nie posiadają inni posłowie, podlegający dyscyplinie marszałka, oraz najprostszy środek uniemożebnienia wszelkiej pracy parlamentarnej. Tak wygodnego środka nie posiada żaden poseł w żadnym innym parlamencie europejskim. Wszędzie bowiem poseł-obstrukcyonista jest zmuszony mówić o kwestyi stojącej na porządku dziennym, w przeciwnym zaś razie będzie pozbawiony głosu przez prezydenta, gdy młodoczescy posłowie mogliby gawędzić z kolei godzinami o najrozmaitszych rzeczach, nie pozostających w żadnym a żadnym związku z tematem obrad, skoro prezydent, nie władający językiem czeskim nie może ich przywołać do rzeczy, ani też odebrać im głosu.

Tego tolerować nie można. Ktokolwiek dba o potęgę monarchii i ku temu parlament centralny uważa jako rzecz konieczną — a my Polacy zawsze o to dbamy — nie może teraz nie uznać naglącej konieczności uzupełnienia regulaminu Izby. W polityce trzeba przystać na mniejsze złe. W danym razie będzie niezawodnie mniejszem złem uchwalenie nowego artykułu w regulaminie, podnoszącego język niemiecki do godności urzędowego języka obrad, niż narażenie parlamentu na zupełną niemoc, w dalszej konsekwencyi na upadek. Jeżeli taka reforma narusza wygłoszone w konstytucyi równouprawnienie wszystkich języków, nie na tych spadnie odpowiedzialność, którzy ulegając konieczności, zgodzą się na takie dopełnienie regulaminu, lecz wyłącznie na tych, którzy tę konieczność systematycznie sprowadzają. Nadużycia wolności i praw zawsze i wszędzie pociągają za sobą ich ograniczenie, często ich zniesienie. Tak samo, jak prąd anarchiczny w roku bieżącym zmusił Hiszpanię, Włochy i Francyę do znacznego uszczuplenia swobód konstytucyjnych, nadużycie równouprawnienia w taki cyniczny sposób, jak to uczynił wczoraj dr. Vaszaty, niewątpliwie pociągnie za sobą ograniczenie równouprawnienia, przynajmniej o ile ono odnosi się do wygłaszania mów czeskich w parlamencie. Bo nawet najliberalniejszy z pomiędzy nas zgodzi się na to, że możliwość normalnej pracy parlamentarnej w interesie ogółu jest ważniejszą i konieczniejszą, niż wolność, nadużywana tak systematycznie celem uniemożebnienia owej normalnej pracy.

Młodoczesi swymi wybrykami sprowadzili roku zeszłego stan wyjątkowy w Pradze. Teraz znajdują się na prostej drodze sprowadzenia ograniczenia zasadniczego równouprawnienia języków w Izbie poselskiej. Oto taktyka Herostratów. A gdyby im się czasem zdawało, że tą niedorzeczną taktyką składają dowód werwy i odwagi obywatelskiej, odpowiemy im słowami Krasickiego:

„Nie fanatyk swywoli jest obywatelem“.

Walne zebranie
Towarzystwa św. apostoła Pawła.
III.

Nastąpił teraz z porządku dziennego I referat ks. dra J. Bartoszewskiego: O czytelniach ludowych, bibliotekach dekanalnych i parafialnych, z którego traktat o czytelniach ludowych, — o szerszem znaczeniu i nie bez interesu dla ogółu czytelników *Przeglądu* — podajemy w krótkiem streszczeniu. Prelegent przedłożył kwestyą: czy jest wskazaną rzeczą zakładać w obecnym czasie czytelnie dla ludu, a jeśli tak, w jaki sposób je urządzać, jakiemi książkami je obdzielać i jaki udział należy w tym względzie brać duchowieństwu parafialnemu? Wychodząc tedy z założenia, że lud to surowa ruda żelaza, którą dopiero obrabiać potrzeba, że z żelaza robią pługi do uprawy roli, ale także kują i miecze, które ranią i zabijają, prelegent przedstawił, jak z jednej strony ludzie dobrej woli troszczą się o ten lud, nie szczędząc pracy i ofiar, z drugiej zaś strony ludzie zgubnymi zasadami przewrotu przejęci, nie przebierają w środkach, by ten lud dla siebie i swoich celów pozyskać. Ztąd o lud ten wiedzie się rzeczywista walka, cicha, skryta, powolna ale wytrwała. Ponieważ zaś wrogie dla religii i Kościoła żywioły, niebezpieczny antichrześcijański socyalizm nurtują wśród naszego ludu i prowadzą swoją podziemną pracę i używają do tego środka potężnego, bo prasy i w czasopismach, pisemkach ludowych i książeczkach, sieją zwolna, często bardzo zręcznie, a nie rzadko i ze skutkiem zgubną, zabójczą truciznę, nie wolno tedy kapłanom, którzy z powołania swego mają plenić chwasty i siać zdrowe ziarno nauki Chrystusowej, być obojętnymi widzami, a należy wystąpić do walki skutecznej i użyć odpowiednich środków. Kiedy więc przeciwnicy nadużywają egidy oświaty, gazet, pism, książek do swoich celów i zapomocą nich działają, nas chociażby tylko konieczność przeciwdziałania zmusza chwycić się tegoż środka i walczyć tym samym orężem. Z tego wynika, iż czytelnie ludowe, w duchu katolickim prowadzone, są nie tylko na czasie ale i koniecznie potrzebne. Żeby jednak czytelnia mogła spełnić skutecznie swoje zadanie i pociągnąć lud ku sobie, winna mieć także cele praktyczne i uwzględniać interesa ekonomiczne wieśniaka. Bliższe rozpatrzenie się w statutach i sprawozdaniach Kółek rolniczych i innych tego rodzaju towarzystw wskazałoby i pouczyło, co i jak w danych stosunkach i warunkach miejscowych uczynić należy. Czytelnie ludowe potrzebują ciągłej opieki ze strony duchowieństwa. Potrzeba je zaopatrywać w dobre książki i pisma, przed złemi strzedz. Pożądanąby tedy było rzeczą, by kto kompetentny z księży rozpatrzył się bliżej w literaturze ludowej (ruskiej), ocenił wydane już dzieła, podał ich zalety i wady i ułożył katalog książek dla czytelń ludowych, pożytecznych i szkodliwych. Tymczasem winien każdy duszpasterz, w którego parafii czytelnia znajduje się, przeczytać najpierw sam każdą książeczkę, każde pismo, czy nie ma w niem czegoś przeciwnego wierze św. lub moralności. Starania o należyty rozwój czytelń i opieka nad niemi prawdziwie wymagają nie małej pracy. Jednak praca to godna kapłańskiego powołania i dająca sposobność wysłużyć sobie obfitą nagrodę pamiętającemu o tem, iż co dobrego uczynimy dla młodszej naszej braci, jest długiem, który Bóg zapłaci nam z lichwą. Bo cóż może być milszem dla Niego nad tę cichą, skromną, mozolną, pełną poświęcenia i zaparcia się pracę dla Jego chwały, gdzieś we wiejskiej ciszy, zdala od pochwał i oklasków ludzkich?..

Nad tym odczytem wywiązała się dyskusya, w której przemawiał Najprz. ks. Metropolita; wyraził uznanie prelegentowi za jego pracę i tak dalej mówił: „Osobliwie wdzięczny jestem za pierwszą część odczytu „o czytelniach ludowych“ — bo i mnie leży na sercu zakładanie tychże dla oświaty ludu i dla jego podniesienia, ale przenigdy bez kierownictwa księdza!“

Pomiędzy wielu innymi mówcami podniósł ważną sprawę ks. D. Taniaczkiewicz: Nim uformują się należycie biblioteki dekanalne, nam trzeba coś robić. Niemiecki kler ma swoje Leseverein'y, u nas należy brać na wzgląd stan materyalny, uważać na brak tego, co to się zwie „nervus rei“, jednakowoż obowiązek i stanowisko nasze wymagają, byśmy zaznajamiali się z bieżącymi prądami, z nowszemi sprawami. U nas, w naszej okolicy zaprowadzono konferencye. Księża łączą się

---

16)

ZAGRZEBANI
POWIEŚĆ
przez Klemensa Junoszę.

(Ciąg dalszy).

— Sądziłem, że was pogodzę, ale wszystko rozbiło się o twój upór. Powiedziałaś, że do męża nie wrócisz; że chcesz odzyskać swobodę; że pragniesz koniecznie rozwodu... Dlaczego? do dzisiejszego dnia nie wiem... Przypomnij sobie scenę tu, w tym samym pokoju... Perswadowałem, błagałem, prosiłem... Uparłaś się.. Powiedziałaś, że jestem ojcem bez serca... że cię wpędzę do grobu!

— Być może, w żalu, w rozdrażnieniu, mogłam coś podobnego powiedzieć.

— A no!.. tedy niechcąc być pod zarzutem dzieciobójstwa, podjąłem tę nieszczęśliwą sprawę. Czasy były niedobre, kilka lat z rzędu był nieurodzaj, klęski inwentarza... a sprawa kosztuje... pozbywanie się męża to droga zabawka!.. bardzo droga, moja piękna rozwódko! Włóczyłem się to tu, to ówdzie, to do Warszawy... Płaciłem panom mecenasom ile chcieli, a wszystko pożyczanemi pieniędzmi.

— Cóż ja temu winna? mój ojcze!

— Zapewne, żeś ty niewinna, bo pieniądze ja pożyczałem i to na gruby, na bardzo gruby procent. Ostatecznie tyś się rozwiodła z Marcelim, a ja ożeniłem się z Gapcewiczem, który rozpoczął ze mną taniec. Jak kiedy przyjedzie pan Jajko, to spytaj go, niech ci opowie, co ten gałgan za figle ze mną wyrabia? jak mnie szykanuje?... Jedyny ten dług mam, ale jaki ciężki? to mnie tylko wiadomo. Koniec końców stało się... Małżeństwo twoje unieważniono... masz wolność, której tak gorąco pragnęłaś. Sądziłem, że będziesz wesoła i szczęśliwa, że może ci się kto podoba, że wyjdziesz za mąż; tymczasem znowuż niezadowolnienie, znowuż jakieś migreny....

— Ojciec widzę nie wierzy, żem chora.

— Albož ja wiem, co o tem myśleć? Tyle lat żyję na świecie i nie słyszałem o żadnych migrenach!

— A jednak...

— No tak! wiem! wiem! jest to podobno bardzo modna choroba!

— Ojcze!

— Domyślam się, co chcesz powiedzieć... postawisz mnie znów pod zarzutem dzieciobójstwa... taki to mój los! Karol także twierdzi, że mu świat zawiązałem.

— I ma słuszność — szepnęła pani Lucyna.

— Tak mówisz?... no proszę! Pomyślałby kto, że go zamknąłem w szpichlerzu na cztery rygle i bronię mu iść w świat!

— Z czem pójdzie?

— A! otóż w tem sęk!.. Ale mi się zdaje, że Maciejów nie leży na księżycu, ani na gwiazdach, lecz na ziemi, na świecie... i że kto chce, to i w nim znajdzie aż nadto pola do pracy... do zużytkowania swoich zdolności i czasu...

Wypowiedziawszy to pan Mikołaj, aż się zapalił, na twarz wystąpiły mu rumieńce; wzburzony był.

— Chcesz jechać do Warszawy?... chcesz na pół roku... W tamtym klimacie migrena ludzi nie trapi.. i to być może... Wszystko być może, jak powiada pan Symplicyusz i niczemu nie należy się dziwić... Jechać chcesz piękna pani? a no! pojedziesz. Pieniędzy na to chcesz? a, no! dostaniesz, tylko niech-no pierwej z Gapcewiczem skończę... Dom się nie podoba, dom nudny... stary ojciec... At! o czem tu mówić?!

Machnął pan Mikołaj ręką, usiadł przy stole i zaczął z wielkiem zajęciem przewracać szare karty rejestrów folwarcznych. Pani Lucyna stała jeszcze przez chwilę, nareszcie zapytała nieśmiało:

— Na czemże stanęło? proszę ojca!

— Na czem? — odrzekł, nie odwracając głowy... Czekajże... stotrzydzieści dwie kopy i snopków piętnaście... Na czem stanęło? A no! powiedziało się, jak się z Gapcewiczem skończy, to się zobaczy. Trzydzieści dwie i piętnaście... a jeżeli Lucynkę głowa bardzo boli, to po Napiejewskiego się poślę. Tęgi doktor, słowo honoru; machnie Lucynce pijawki za uszami; zapisze trochę tego... jakże się nazywa? i będzie dobrze... Poślę się, jak Lucynka zechce; konie są na każde zawołanie.

Pani Lucyna miała wielką chęć rozpłakać się głośno, nie uczyniła jednak tego, dopiero znalazłszy się w swoim pokoju, rzuciła się na kanapkę i płakać zaczęła.

Przechodząca przez salę panna Weronika usłyszała szlochanie.

— Co to? co to Lucynko? — zawołała przerażona.

— Daj mi pokój! — rzekła młoda rozwódka niechętnie — niepotrzebna ciekawość.

— Nie ciekawość Lucynko, lecz współczucie... tylko współczucie, nic więcej. Może cię głowa boli?

— Nie!

— Mam doskonały środek, coś nowego... Jedna znajoma z Warszawy przysłała mi niedawno... Poczciwa, wie, że często cierpię, i pamiętała o mnie. A może zęby?

— Nie zęby!

— Boże! Boże! co ja wycierpiałam w mojem życiu na zęby! Nieraz, to już myślałam, że sobie życie odbiorę. Mam w szafie ze trzydzieści flaszeczek z różnemi kroplami, — ale prawdę powiedziawszy, wszystkie się na nic nie zdały. Dopiero niedawno jedna kobieta, prosta baba ze wsi, doradziła mi ziele. — Cudowne, prawdziwie cudowne ziele — jak ręką ból odejmuje. Ja zaraz Lucynie tego ziela przyniosę.

— Powiedziałam już, że mnie zęby nie bolą.

— Ach! prawda! ja taka jestem roztargniona, że nieraz sama nie wiem co mówię?...

— To też najlepiej zrobisz, jak mnie zostawisz w spokoju. Ja mam swoje zmartwienia i chcę być samą...

— Zmartwienia? Jestem już w domu. Prawda! prawda! byłaś u ojca... marudził, zrzędził, — jak zawsze... Wszak prawda... że tak było, Lucynko?

— Tak!...

— O! ojciec jest okropny. Miałam i ja za swoje. Przychodzę dziś i powiadam, że się taka szkoda zrobiła: pies zjadł indyczkę, — najładniejszą indyczkę tę białą, — jak cię kocham! Ojciec twój spojrzał na mnie, wruszył ramionami i powiedział: wiesz, Lucynko, co powiedział?

— Nie wiem.

— Powiedział: moja Weronisiu! masz też z czem przychodzić, — żeby indyczka psa zjadła, to byłoby o wiele ciekawsze... Jakże? indyczka psa! Ja nie wiem, ale ci panowie, niby mądrzy ludzie — a czasem powiedzą takie głupstwo, że ani przypiął ani przyłatał... Boże drogi! chciałam się rozpłakać, — miałam nawet pełne oczy łez.

— Któż ci bronił płakać? Mogłaś sobie pozwolić... to w naszym pięknym Maciejowie nie jest zabronione dotychczas.

— Ale! tak się Lucynce zdaje, niby to zawsze można płakać? Nie można, nie ma kiedy... To w kuchni co przypalą, — to z drobiem jakiś wypadek — to znowu nabiału trzeba dojrzeć... to to... to owo. Nie ma kiedy!... jak Lucynkę kocham! tak nie ma. Płaczę też najczęściej w nocy, gdy spać nie mogę; — albo w niedzielę, jak roboty nie mam i zacznę sobie różne rzeczy przypominać... Oto teraz naprzykład widzę, że Lucynka płacze... to i mnie na płacz się zbiera, siadłabym przy tobie i płakała; — ale nie mogę, bo dziś pranie. Idę już! płacz! płacz Lucynko sama! — bo czasem dobrze jest wypłakać się... to ulgę przynosi.

— Czy nie ma Karola? spytała pani Lucyna, podnosząc się z kanapki i ocierając oczy chusteczką.

— Nie ma, nie ma go, pojechał.

— Czy nie mówił dokąd jedzie i kiedy powróci?

— Dokąd pojechał? to ja wiem, chociaż nie mówił.

— A skąd wiesz?...

— Byłam na dziedzińcu i widziałam, jak wyjeżdżał... konno pojechał w stronę Czarnej — a pędził tak, że aż krzyknęłam: Jezus! Marya! żeby choć jakiego wypadku nie miał, uchowaj Boże!

— To już w tym tygodniu drugi raz...

(Ciąg dalszy nastąpi).

w Kółka-konferencyjne bez względu na granice dekanatu, komu jak dogodniej. To najtańszy sposób. Każdy z nas odczyta cośkolwiek z dziedziny literatury kościelnej w domu, na konferencyi odczytuje ów to, ten owo, otwiera się dyskusya, a nawet ci, którzy nie koniecznie lubią czytać, biorą w konferencyach żywy udział. Zróbcie, drodzy bracia próbę, a przekonacie się, co to takiemi konferencyami da się zdziałać!

Nastąpił teraz II referat X. L. Dżułyńskiego p. t. „Towarzystwo zapomogowe ubogich cerkwi". Prelegent opisuje genezę powstania tego nowego towarzystwa (św. Ap. Piotra), które stoi w ścisłym związku z Tow. św. Ap. Pawła, gdyż je dopełnia. Jedno ma moralne, duchowne dobro Kościoła i duchowieństwa na oku, drugie dobro materyalne. Oba razem stanowią jedną nierozdzielną całość. Pożyteczności tego nowego Towarzystwa nie potrzeba udowadniać. Bieda i nędza wzmaga się wśród ludu z każdym dniem, a miejscami, osobliwie w górach i na piaskach, dochodzi już do ostateczności. Dziś w takich miejscowościach zbudować nową cerkiew albo starą odrestaurować przychodzi bardzo ciężko, a czasem jest wprost niemożliwe. Stare cerkwie chylą się ku upadkowi, a co dalej będzie? Temu złemu możemy zapobiedz tylko zjednoczonemi siłami i tu leży moc naszego przyszłego „Towarzystwa". Obyśmy byli zrobili to dawniej, przed laty! Rozporządzalibyśmy potężnymi kapitałami i patrzylibyśmy śmiało w przyszłość. Albowiem budować cerkwie w ten sposób, aby na tych murach ciężyły łzy ubogich ludzi, przez egzekucye i grabieże parafian, to rzecz straszna i zupełnie nie w duchu chrześciańskiej miłości. W dalszym toku odczytu prelegent podał informacye, w jakiem stadyum znachodzi się to towarzystwo, a potem zakończył odczyt swój temi słowy: Przedkładając mój referat uznaniu świetnego zebrania, jestem w tem szczęśliwem położeniu, że nie mówię o jakimś tam dopiero projekcie, który dopiero w przyszłości ma się urzeczywistnić. Sprawa ta przybrała już konkretną postać.

Również i nad tym odczytem rozwinęła się ożywiona dyskusya, a po niej nastąpił III referat X. A. Torońskiego: „O towarzystwie własnej pomocy dla gr. kat. duchowieństwa". Prelegent na podstawie zasady *self help* wykazał w swoim odczycie potrzebę samopomocy i przedłożył projekty Towarzystwa własnej pomocy głównego na wszystkie 3 dyecezye i takichże towarzystw dekanalnych lub powiatowych.

W dyskusyi nad powyższym referatem między innymi zabrał głos X. B. Dawidiak; który jest zdania, że środki przedłożone przez X. prelegenta nie są zupełnie odpowiednie. Kapłani tyle oddają usług państwu, że państwo powinno się zająć ich losem. Oto urzędnicy państwowi gwałtownie dopominają się polepszenia bytu, a część sędziów powiatowych podniesiono już do VII rangi, dla czegożby tylko kapłani mieli powodować się jakąś nieuzasadnioną szlachetnością, i sami o sobie radzić? Czemu nie mają odwołać się do teraźniejszej komisyi w Radzie państwa obradującej nad polepszeniem losu urzędników? Zdaniem mówcy przedewszystkiem należy żądać podwyższenia kongruy i dlatego stawia mówca wniosek, aby zebrany dziś kler prosił Najprz. Ordynaryat i Metropolitalny Konsystorz, żeby podniosły te sprawy w porozumieniu z drugimi ordynaryatami i Konsystorzami. J. E. X. Metropolita zabrał głos i przemówił w te słowa: „Że sprawa tu podniesiona jest ważna, przyznaję. Co się tyczy referatu X. Torońskiego, to miał on na względzie przedewszystkiem samopomoc duchowieństwa. Najpewniejsza droga bowiem, nie zapominajcie o tem, jest pomoc własna tak co do ludu, jak i kleru. To też myśl poruszoną przez prelegenta popierać należy. Wszędzie są takie towarzystwa: dla poratowania zdrowia, dla ułatwienia kredytu na wypadek niespodziewanych nieszczęść, celem udzielania pożyczek na mały procent. Księża w innych krajach, chociaż ich sytuacya jest lepsza, mimo to zakładają towarzystwa samopomocy. Co do potrzeb, w jakie popada ksiądz, to poradzić na to przecież do kas samych należy a nie do sprawy kongrualnej. Jedno nie wyklucza drugiego, dlatego zastanawiajmy się osobno. Sprawą poruszoną przez X. Dawidiaka ordynaryaty bardzo gorąco się zajmują. Czy wiecie o przedmiotach narad konferencyj biskupich we Wiedniu? Schodziliśmy się niedawno przez 2 tygodnie a radzili nie o sobie, lecz między innemi rzeczami także o losie kapłanów, o kongrui i o dzierżawie gruntów. Jaki był rezultat tych obrad tego nie rozgłasza się, bo można przeszkodzić sprawom, które jeszcze nie dojrzały. Ordynaryaty i Konsystorze mają dla tych spraw osobnych referentów. Radzi się i porozumiewa, udajemy się do namiestnictwa, a przez nie idziemy do ministeryum. Dosyć, że wszystkie te sprawy były traktowane albo traktują się, albo też w czasie najbliższym będą przedmiotem narad. Najmilszym obowiązkiem Ordynaryatu jest dać pomoc materyalną klerowi, by on swoje cele wypełniać mógł, — my też sami podamy petycye o uregulowanie kongruy. Ale proszę mi wierzyć: gdy widoki na podwyższenie kongruy będą już bliskie i gdy będziemy uważali, iż petycye pomogą, damy znać o tem urzędownie albo przynajmniej poufnie, żeby je wnosił kler albo też i wierni.

W sprawie podniesienia kongruy, Ordynaryat dołoży wszystkich starań, żeby ją przeprowadzić. Tylko proszę nie spodziewać się tego, abyśmy dopominali się podwyższenia kongruy jako urzędnicy. Nacisku na to nie kładźmy. My przedewszystkiem mamy obowiązki duchowe, chociaż służymy zarazem i światu i państwu. Pomnijcie na to, co dzieje się teraz na Węgrzech, gdzie zamierzają odebrać kapłanom to ich „urzędowanie"? Nie nazywajcież księży urzędnikami! Tak samo na zgromadzeniach świeckich nie bierzcie nas za urzędników. My nie urzędnicy! „Ks. D. Taniaczkiewicz zaznaczył, iż kapłani zebrani czując się niejako w kółku rodzinnem, podnieśli sprawy aktualne, aby dać usłyszeć swój głos i przez to wyrządzili uczciwą przysługę Ordynaryatowi, gdyż dali mu sposobność oryentowania się. Siła nasza — rzekł mówca — to „jedność kleru z Ordynaryatami".

MAŁY FELJETON.

Fr. Ondrziczek.

W piątek w teatrze hr. Sarbka wystąpi z koncertem król skrzypków współczesnych — Ondrziczek. Z tego powodu podajemy naszym czytelnikom wiązkę szczegółów z życia znakomitego artysty, które nadesłał nam p. Karol Wild z Insbruku:

Fr. Ondrziczek urodził się 29 kwietnia 1859 na Hradszynie w Pradze. Ojciec jego był dobrym skrzypkiem, a cała familia bardzo muzykalna, każdy jej członek jakby z kalafonią w ręku na świat przychodził, a nadewszystko grali Ondrziczkowie na skrzypcach. Siedm lat mając, musiał malec już na chleb zarabiać, ojciec jego bowiem stał na czele małej kapeli, która grywała w różnych praskich piwiarniach i tym podobnych lokalach. Gdzie Ondrziczek z synem swoim wystąpił, tam płynęła publiczność, której ulubieńcem stał się z czasem mały Franciszek, gdy się jako solista produkować począł. Temu dziecku jednak nie zawróciły głowy tryumfy w knajpach odnoszone, nie zadowalniały go one wcale. W wolnych chwilach uciekał malec na strych domu, gdzie spokojnie grać mógł utwory... Bacha! Bachem się zajmował od maleństwa, grywał jego utwory z ogromnem zamiłowaniem; nie dziw więc, że dziś, po dwudziestu latach, „Ciacconą", owym kamieniem probierczym dla skrzypka, robi furorę; nie dziw, że go dziś krytyka niemiecka wyżej stawia od Joachima i Wilhelmyego!

Na takich cichych rozmowach z nieśmiertelnym mistrzem mijały lata, a im więcej się chłopak sam kształcił, tem więcej uczuwał brak dobrego nauczyciela, tem lepiej począł poznawać nędzę swego położenia i tem częstsze staczał walki z ojcem, który, mając do wyżywienia liczną rodzinę, nie chciał się pozbawiać podpory i pierwszej gwiazdy swej kapeli. Wreszcie przy pomocy kilku muzyków i krytyków, którzy talent chłopca poznali, zdołał Ondrziczek w czternastym roku życia uzyskać pozwolenie ojca, ale nie bez scen melodramatycznych, bo malec groził samobójstwem, tak ciągnęła go chęć studyów, chociaż technicznych trudności jako skrzypek już wówczas nie znał.

Naipierw przyjęto go do ówczesnej szkoły organistów w Pradze, gdzie w teoryi muzyki szybkie robił postępy i wkrótce wcale niezłe zaczął składać próby swego kompozytorskiego talentu. Po roku przyjętym został do praskiego konserwatoryum, gdzie go ówczesny profesor a dziś dyrektor zakładu Bennewitz natychmiast, wielki talent poznawszy, na swój wyższy kurs zaangażował. Inni nauczyciele, zainteresowani wielkim talentem, dawali mu lekcye poza godzinami szkolnemi i kształcili bezpłatnie. Po trzech latach opuścił Ondrziczek konserwatoryum, otrzymawszy pierwszą nagrodę. Wtedy — było to w 1876 roku, w którym śp. Henryk Wieniawski po raz ostatni we Lwowie dał się słyszeć — dał Ondrziczek, jako siedmnastoletni młodzieniec, pierwszy swój koncert w Pradze, na którym Wieniawski był obecnym. Po odegraniu koncertu Moliqu'a wyszedł Wieniawski na estradę i wyściskał chłopca wobec całej publiczności. Sala zagrzmiała od oklasków, a Ondrziczek zagrał na cześć mistrza nieśmiertelną jego „legendę". „Możesz ją grać i bezpośrednio po mnie!" zawołał Wieniawski, zachwycony sposobem wykonania młodego artysty. Mały ten epizod wpłynął stanowczo na losy naszego skrzypka. W audytoryum znajdował się zamożny kupiec i mecenas praski pan A. Oliva, który umożliwił Ondrziczkowi dalsze kształcenie się w Paryżu. Ondrziczek marzył o tem, żeby pod kierownictwem Massarta, byłego profesora Wieniawskiego, dalej mógł się kształcić. Ale Massart miał uczniów tylu, iż żadnego już przyjąć nie chciał. Godzina minęła, kilkunastu młodych ludzi, którzy się już przedtem zapisali, odegrało swoje zadanie i opuściło salę, a Ondrziczek stał ciągle w kącie, może i nie rozumiejąc dobrze Francuza. Ten zaś, zniecierpliwiony, chwycił skrzypce i wręczył je z niechęcią Ondrziczkowi, myśląc może, iż w ten sposób łatwiej się z nim porozumie lub natręta się pozbędzie, a tymczasem zasiadł do pisania. Po kilku chwilach jednak wstał, począł słuchać i lakonicznie oświadczył Ondrziczkowi, że jest przyjętym. „Ale" dodał „na jeneralną próbę nie przyjdź wytłumacz się chorobą; bo gdy tak zagrasz przed całą jury, jak teraz przedemną, to ona oświadczy, że tylko po to tu przybyłeś, ażeby pierwszy medal osiągnąć, i nie przyjmie cię." Przyjętym atoli został, bo tak chciał Massart. Wnet potem słyszał Ondrziczka Vieuxtemps i wręcz mu oświadczył: „Nie trać czasu w Paryżu, jedź koncerty dawać." Atoli czas w klasie Massarta spędzony nie był dla artysty straconym. Wyrobił sobie mianowicie prawą rękę i nauczył się wydobywać nawet z podrzędnego instrumentu wielki, pełny ton... dwie właściwości, podziwiane u Wieniawskiego. Nawiasowo tu wspominam, że naszym wielkim mistrzem a swoim uczniem chlubił się często nad miarę Massart, co nieraz Wieniawskiego irytowało, a gdy raz w towarzystwie znów wyrwał się ze zdaniem: „Oto mój uczeń, największy skrzypek tegoczesny", Wieniawski cierpko odrzekł: „Ale nie ze wszystkiem, bo niejedno musiałem zapomnieć, czego mnie p. Massart uczył."

Jednak mimo tej chwilowej, prawdopodobnie rozstrojem nerwów wywołanej cierpkości zawsze z uwielbieniem wspominał Wieniawski swego mistrza, do zgonu na przyjaznej z nim pozostał stopie i nieraz odwiedzał Massarta w jego klasie w konserwatoryum. Wspomnieć należy, że Ondrziczek był doskonałym pianistą i często na fortepianie towarzyszyć musiał uczniom biorącym lekcye u Massarta, o ile go sam zupełnie nie zastępował. Pewnego razu już z tuzin swych uczniów Massart Wieniawskiemu zaprodukował, gdy ten zniecierpliwiony zaraz u wstępu Ondrziczka poznawszy, zawołał: „Ale tego, co od godziny fortepian obrabia, tego chciałbym wreszcie „słyszeć." „Ten nie może, bo go palec boli", odrzekł Massart, jakby z obawy, że Wieniawski znów mu, nie obwijając w bawełnę, swoje zdanie wyrazi. Wieniawski zrozumiał, uśmiechnął się i wyszedł. Ondrziczek był już drugi rok uczniem konserwatoryum paryskiego, ponieważ w pierwszym roku, gdy odegrał na poufnej próbie „Erlkoniga" Ernsta, dyrekcya postanowiła nie dawać nikomu pierwszego medalu, aby swojskich skrzypków nie postponować. Inaczej wyszedłby był Ondrziczek już w pierwszym roku z medalem. Po dwóch latach wyrzekł Massart na uroczystym egzaminie, połączonym z rozdaniem medalów, te dla Ondrziczka pamiętne słowa: *Voilà, c'est mon second Wieniawski!* (Oto mój drugi Wieniawski!)

Zatrzymaliśmy się dłużej nieco w Paryżu, bo choćby ze względu na Wieniawskiego, są to interesujące dla Polaków rzeczy.

Przejdźmy teraz do Ondrziczka. We Francyi zatrzymał się pewien czas i odbył tam kilka większych artystycznych podróży, wszędzie robiąc furorę. Z Francyi udał się do Anglii, gdzie przez dłuższy czas synów Albionu swą grą zachwycał. Po kilku latach dopiero zwrócił się do Niemiec i Austryi. We Lwowie wystąpił po raz pierwszy w sali kasyna w r. 1882 i podobał się bardzo, acz słuchaczy miał nie wielu.

Po raz wtóry dał się u nas słyszeć w r. 1889 lub 1890, a od tego czasu krokami olbrzyma wypłynął w górę. Po koncertach jego w zeszłym roku, danych w Wiedniu, w których wystąpił z orkiestrą (jako solista w koncercie „filharmoników"), krytyka wiedeńska prawie jednogłośnie nazwała go najgodniejszym następcą Joachima. A powiedzieli to tacy wytrawni i surowi sędziowie, jak dr. Hanslick, Maks Kalbeck, W. Speidel, dr. Paumgarten!

Ondrziczek przejechał już całą Europę, wszędzie laury zbierając. Kilka interesujących epizodów z tych podróży zaznaczymy tutaj. I tak w Stambule miał zaszczyt wystąpić przed jego sułtańską Mością Abdul Hamidem II. A ponieważ zamierzano go mianować oficerem orderu „Medżidżie", musiał w końcu swej produkcyi odegrać, jak tam jest w zwyczaju, *à vista* jakiś utwór w tym celu przez nadwornego kapelmistrza sfabrykowany, by dowieść, że kunszt czytania mu nie jest obcym. Była to fantazya z „Lunatyczki" na skrzypce z towarzyszeniem iście tureckiej muzyki. Artysta, acz utworem tym wcale nie zachwycony, wywiązał się z zadania świetnie i otrzymał wyż wymienioną odznakę. Nawiasem mówiąc, należy sułtan do tych dziś rzadkich panujących, którzy nie ograniczają się na udzielaniu orderu lub swego portretu, ale wyrażają swe uznanie brzęczącą monetą, co w czasach, w których „sztuka chleba szuka", jest uznania godnym, acz dziś już tylko... tureckim zwyczajem.

W Bukareszcie również nieraz Ondrziczek z wielkiem powodzeniem występował i bywał częstym gościem u dworu, gdzie grywał z królową. Carmen Sylva bowiem jest znamienitą pianistką, a 3—4 godzin przy fortepianie spędzić, to rzecz dla niej zwykła; prawie całą literaturę skrzypcową odegrał nasz artysta przy akompaniamencie wytrwałej melomanki, przyczem następca tronu kartki obracał.

Atoli jednym z najciekawszych epizodów z życia artysty był pobyt jego we Włoszech w r. 1892, a szczególnie w Parmie, rodzinnem mieście wielkiego Niccola Paganiniego. Obecnym na koncercie, którego program — jak łatwo się domyślać — przeważnie z utworów nieśmiertelnego skrzypka się składał, był baron Achilles Paganini, jedyny dziś żyjący syn, spadkobierca sławy i milionów Mikołaja Paganiniego. Ten dziś 70-letni staruszek, zachwycony grą naszego artysty, zaprosił go do swej willi i wyprawił mu tam rzadką a w swoim rodzaju jedyną uroczystość. Przy asystencyi duchowieństwa, oraz municipium miasta, otworzono mauzoleum, znajdujące się w parku i podniesiono szklaną trumnę, w której świetnie zakonserwowany spoczywa Paganini. „Tobie, który się tak świetnie przyczyniasz do utrzymania sławy ojca mego, odsłaniam szczątki jego, w ogóle po raz pierwszy i ostatni" odezwał się Achilles Paganini, a prócz tego obdarzył Ondrziczka niepublikowanym dotąd oryginalnym manuskryptem wielkiego swego ojca.

Tak znakomitego artystę usłyszymy w piątek w teatrze. Program koncertu nie został jeszcze ogłoszony, ale spodziewamy się, że obejmie on kilka utworów Wieniawskiego, które w repertoarze Ondrziczka stanowią najcenniejsze klejnoty.

KRONIKA.

Lwów 5 grudnia.

JE. dr. Franciszek Smolka ma się już tak dobrze, że dziś, jak zwykle wstał z łóżka.

Mianowania. Ministerstwo handlu zamianowało praktykanta rachunkowego Artura Słapę elewem dla technicznej służby w dyrekcyi poczt i telegrafów we Lwowie.

Zmiana nazwiska. P. Albin Formanek, oficyał Wydziału Rady powiatowej w Kosowie, zmienił nazwisko swe na „Staszyński".

W Czytelni katolickiej wygłosi we czwartek 6 bm o g. 7 wieczorem dr. Bronisław Łoziński pogadankę p. t. „Wielkość i mniejszość".

Losowanie sędziów przysięgłych. Jako sędziowie wylosowani zostali: dr. Władysław Gorecki, Seweryn Krogulski, Emil Kratochwil, br. Adolf Brunicki, dr. Wilhelm Holzer, Kajetan Kwaszyński, Michał Michalski, Franciszek Jędrzejowicz, Andrzej Kędzior, Stefan Hasiuk, Zygmunt Szulakiewicz, dr. Robert Pawłowski, Władysław Czerwieński, Michał Kasprowicz, dr. Jan Rzepecki, Jakób Klarfeld, Konstanty Jędrzejowicz, Julian Schayer, Juda Mantel, dr. Innocenty Białoskórski, Julian Abrysowski, dr. Jan Białogórski, Mikołaj Ludwik, Michał Majewski, Andrzej Tyszkowski, dr. Adolf Segal, Władysław Wiktor, dr. Wincenty Kraiński, M. Diamand, Józef Kapko, Jan Jeleń, Bogusław Longchamps, Alfred Münter, dr. Maurycy Ambos, dr. Ludwik Finkel, dr. Jan Dobrzański. Jako zastępcy: E. Świerczewski, L. Wilimowski, dr. B. Tenner, K. Schuls, J. Adam, dr. S. Czerkawski, F. Granatowski, dr. J. Szydłowski, W. Słomkowski.

Kółka rolnicze. Walne zgromadzenie kółek rolniczych odbyte 30 sierpnia zamianowało ks. arcybiskupa Isakowicza członkiem protektorem. Wczoraj deputacya zarządu pod przewodnictwem prezesa p. B Augustynowicza złożyła Najdostojniejszemu Arcypasterzowi swój hołd, ofiarowując ozdobny dyplom na członka protektora. Po udzieleniu pasterskiego błogosławieństwa przyjmował ks. arcybiskup ze staropolską gościnnością członków deputacyi.

Nowy teatr we Lwowie. Sprawa wyboru miejsca pod nowy teatr we Lwowie, która tak żywo interesowała całe miasto, stała się przedmiotem obrad na posiedzeniach lwowskiego Towarzystwa politechnicznego; obradowali więc nad nią ludzie, którzy jako fachowcy z zawodu mogli najlepiej wypowiedzieć opinię, czy wybrany przez Radę plac Gołuchowskich nadaje się pod budowę tak monumentalnego gmachu, jakim będzie przyszły teatr. Owóż radzono na kilku posiedzeniach, a w końcu prawie wszyscy członkowie Tow. politechnicznego przyszli do przekonania, że wybór dokonany przez naszą reprezentacyę miejską, był niefortunny, gdyż przeciw placowi Gołuchowskich przemawiają poważne argumenta techniczne, których Rada nie uwzględniła.

Rozprawy w Tow. politechnicznem rozpoczęły się od wywodów architekty p. Rawskiego, który bronił swego projektu budowy teatru na placu Halickim.

Po p. Rawskim przemawiał p. Janowski i w półtoragodzinnym przeszło wywodzie tłómaczył powody, które skłoniły Radę do oświadczenia się za placem Gołuchowskich. Owóż podniósł mówca, iż obliczenia kosztów fundamentowania przyszłego teatru na placu Gołuchowskich, wygotowane zostały przez urząd budowniczy miejski, na podstawie sondowań dokonanych na placu w pięciu miejscach. Badania te uskuteczniono w lutym i w pierwszej połowie marca br., przyczem od dnia wiercenia do dnia sondowania upłynęło trzy dni. Badając w ten sposób teren natrafiono na wodę gruntową w głębokości 6·5 metra. Na podstawie tego wyniku pomiarów obliczono też koszta położenia fundamentów na ławach betonowych, już z uwzględnieniem bliskości koryta Pełtwi, na 60.000 zł.

Owóż liczni mówcy, a ludzie fachowi, dowodzili, iż sondowanie, dokonane w miesiącu lutym i w marcu nie daje pewności o prawdziwym najwyższym stanie wody gruntowej, gdyż właśnie stan wody gruntowej w tych miesiącach bywa najniższy. Następnie, sondowanie po trzech dniach po wywierceniu otworu świdrowego nie ma, zdaniem znawców, żadnego znaczenia praktycznego, gdyż w otworach takich podnosi się woda dopiero po kilku tygodniach od daty opadów.

Wkońcu podniesiono, że pięć otworów, gdy chodziło o rozstrzygnienie kwestyi tak kosztownej, było stanowczo za mało. W ogóle określono badanie terenu w tym wypadku jako w najwyższym stopniu niedokładne, pobieżne, a przeto i niepewne. Skoro zaś cała kalkulacya kosztów fundamentowania gmachu właśnie na tych badaniach się opiera, a omyłka o każdy decimetr wyżej rzeczywistego podchodzenia wody gruntowej niż na 6.5 metra od powierzchni podnosi koszta fundamentowania o kilkadziesiąt tysięcy guldenów nad preliminars, przyjęty za podstawę uchwały Rady miejskiej, więc i cyfra 60.000 zł. przypuszczalnych kosztów fundamentowania wygląda na fikcyę. Podniesiono dalej, że inżynier sondujący nie uwzględnił, iż teren zniża się znacznie od ulicy Skarbkowskiej ku ulicy Karola Ludwika, gdy on przyjął wszędzie jednakową głębokość od terenu do wody gruntowej. Zapomniano także o znacznych kosztach odprowadzania wody gruntowej i zaskórnej, a przyjmując za podstawę niewzruszoną podchodzenie wody gruntowej tylko co najwyżej na 6 5 metra od powierzchni, nie liczono się z ewentualnością gwałtownych zalewów, które mogą podtapiać proscenium, ani z kosztami niezbędnych robót ochronnych z powodu bliskości koryta Pełtwi.

Znakomity architekt prof. Zacharyewicz, który wybudował już niejeden gmach monumentalny, że tylko wspomnimy o politechnice lwowskiej, Kasie oszczędności i kościele PP. Franciszkanek przy ul. Kurkowej, również twierdził, iż umieszczenie teatru na gruncie tak niepewnym, bagnistym i o niejednostajnym terenie, jakim jest plac Gołuchowskich, może narazić gminę miasta Lwowa na nieobliczalne straty.

Bardzo przychylnie przez wszystkich członków Tow. politechnicznego przyjęty został projekt inżyniera p. Edmunda Krzena. Naprzód w długim wywodzie wykazał on niestosowność budowy teatru na placu Gołuchowskich lub na Wałach hetmańskich i zwrócił uwagę słuchaczy, iż najodpowiedniejszem miejscem pod przyszły gmach teatru jest ogród miejski. Przeciw budowie teatru na osi ulicy Trzeciego Maja, w miejscu, gdzie i teraz z powodu sąsiedztwa stanowiska fiakrów, publiczność wcale nie uczęszcza, gdzie na gmach teatralny od ulicy Jagiellońskiej otwierałaby się prześliczna perspektywa i gdzie miałby on otoczenie, które pod każdym względem jego wszystkie zalety estetyczne znakomicie podnosiłoby — jako jedyny argument przeciwny podnoszono dogmat o nietykalności tego miejsca spacerowego.

Otóż projekt inżyniera Krzena podaje sposób wynagrodzenia ubytku przestrzeni w ogrodzie Miejskim przez przyłączenie doń pasma trawników z ulicy Mickiewicza, obecnie nieużytecznie leżących. Pozostawionoby ulicę Mickiewicza w takiej samej szerokości, jaką ma obecnie droga do jazdy i trotuar, a wówczas przybyłby ogrodowi Miejskiemu pas gruntu zajmujący przeszło 3.100 metrów kwadratowych, tj. więcej przeszło o 400 metr. kwadr., niż miałby zająć teatr. Usunięcie zaś z pośrodku ogrodu restauracyi i rozszerzenie go ku ulicy Mickiewicza, umożliwiłoby p. Röhringowi utworzenie tam prześlicznej całości jednolitej, jakiej teraz właśnie przez ową zagrodę restauracyjną utworzyć tam niepodobna.

Zgromadzeni przyjęli projekt p. Krzena oklaskami, a dziś wieczorem w lokalu Towarzystwa politechnicznego odbędzie się dalsza dyskusya nad tym projektem.

Wskazanem byłoby, aby Rada miejska raz jeszcze zastanowiła się nad wyborem miejsca pod przyszły teatr i przy powzięciu swej uchwały uwzględniła zdania ludzi fachowych, które wyłoniły się podczas dyskusyi w Tow. politechnicznem.

Krwawa tragedya. Ferdynand Langfort, który onegdaj zastrzelił żonę, a siebie zranił w czoło, zmarł wczoraj w szpitalu.

Deputacya polska u cara. Wobec najsprzeczniejszych pogłosek o przyjęciu deputacyi polskiej w Petersburgu, podajemy to, co pisze w tym przedmiocie tygodnik petersburski *Kraj*, który, jako wychodzący na miejscu, mógł i musiał napisać prawdę. Oto, co pisze *Kraj*:

„Pierwszym krokiem deputacyi było zwrócenie się do p. ministra spraw wewnętrznych, sekretarza stanu Durnowo, z prośbą o pozwolenie wzięcia udziału w uroczystości pogrzebowej całej deputacyi *in corpore*. Tu jednak stanęła na przeszkodzie szczupłość soboru św. Piotra i Pawła, w którym złożone być miały zwłoki cesarza Aleksandra III, skutkiem czego niektóre tylko deputacye i w składzie tylko 3 — 4 członków mogły być dopuszczone. Z pomiędzy więc przedstawionej sobie listy 27 członków deputacyi p. minister spraw wewnętrznych wybrał czterech, a mianowicie: Dra Baranowskiego, p. Stan. Bruna, ks. W. Czetwertyńskiego i hr. Maurycego Zamoyskiego. Panowie ci w niedzielę dnia 18 listopada o godzinie 9 wieczorem złożyli wieniec na trumnie zmarłego cesarza. Wieniec był srebrny, nosił napis następujący: „Od mieszkańców Królestwa Polskiego". Nazajutrz ci sami czterej członkowie deputacyi uczestniczyli oficyalnie w pogrzebie.

W piątek 23-go listopada prezes deputacyi warszawskiej p. Ludwik Górski otrzymał na przedstawienie jenerał-gubernatora warszawskiego Hurki z wydziału spraw ogólnych ministerstwa spraw wewnętrznych zawiadomienie, iż nazajutrz o g. 3 po południu w pałacu Zimowym cesarz przyjmie deputacyę z Królestwa Polskiego jednocześnie z innemi deputacyami. Jakoż w dniu 24-go listopada wszyscy członkowie deputacyi stawili się już o godzinie pół do 3 w sali Mikołajewskiej, gdzie wskazano im miejsce jako deputacyi „obywateli ziemskich i przedstawicieli kupiectwa Królestwa Polskiego", między deputacyą z gubernii besarabskiej a deputacyą z gubernii wileńskiej.

O godzinie trzy kwadranse na trzecią zbliżył się do deputacyi warszawskiej minister spraw wewnętrznych, a wówczas p. Ludwik Górski przedstawił Jego Ekscelencyi wszystkich z kolei członków deputacyi. Z uderzeniem godziny 3-ciej wszedł na salę Mikołajewską cesarz Mikołaj II-gi, a zatrzymawszy się przed deputacyami: petersburską, moskiewską, archangielską, astrachańską i besarabską, z kolei stanął przed deputacyą warszawską i odpowiedziawszy łaskawie na ukłony jej członków, zaszczycił młodego hrabiego Wielopolskiego kilku uprzejmemi słowy. Przechodząc obok deputacyi wołyńskiej, zaszczycił cesarz podaniem ręki i zapytaniem o zdrowie hrabiego Józefa Potockiego.

W poniedziałek dnia 26 listopada 28 członków deputacyi było obecnych w pałacu Zimowym na ślubie cesarza, a mianowicie według ceremoniału: urzędnicy dworu brali udział w pochodzie, stosownie do rangi i daty nominacyi; szlachta rodowa stała w sali koncertowej, reszta członków w sali feldmarszałkowskiej.

Gimnazyum polskie w Cieszynie. W niedzielę odbyło się pod przewodnictwem posła ks Świeżego nadzwyczajne walne zgromadzenie Macierzy szląskiej. Zebranie było bardzo liczne. Po długich naradach uchwalono: 1) Wszystkie możliwe poczynić kroki przygotowania, aby w r. 1895 została otwarta pierwsza klasa polskiego gimnazyum w Cieszynie: W tym celu: 2) Zarząd Macierzy wniesie petycyę do sejmu galicyjskiego o stałą coroczną subwencyę na utrzymanie gimnazyum, dopóki ono nie zostanie przyjęte na etat rządowy: 3) Wyszle deputacyę do korony i przedstawi jej w memoryale krzywdy, jakie się dzieją ludności polskiej na Szląsku, z prośbą, aby Monarcha polecił rządowi, by gimnazyum polskie, któremu Macierz daje początek, wziął na swój etat i w następnych latach otwierał co roku wyższą klasę gimnazyalną.

Wścieklizna we Lwowie. Magistrat ogłasza, że z powodu, iż w listopadzie skonstatowano 7 wypadków wścieklizny we Lwowie, właściciele psów mają je odtąd albo trzymać na uwięzi, albo wyprowadzać ją na ulicę, prowadzić na linewce. W przeciwnym razie psy ich będą łapane, a oni podlegać będą karze grzywny.

Z Kołomyi donoszą: Posłowie sejmowi pp. dr. Mikołaj Krzysztofowicz i Stanisław hr. Dzieduszycki składali onegdaj. (3 bm.) przed licznie zgromadzonymi wyborcami z większych posiadłości sprawozdanie z dotychczasowej działalności poselskiej i o sytuacyi politycznej sejmu. W dyskusyi brali udział między innymi pp. Agopsowicz, Theodorowicz, Komierowski, Moysa i inni. Obecny na zebraniu poseł do Rady państwa dr. Wielowieyski złożył na odnośne zapytania krótką relacyę z obecnej sytuacyi parlamentarnej, jako też z rozpraw o reformie wyborczej, toczących się w Wiedniu. Zgromadzenie przyjęło tak sprawozdania swoich posłów sejmowych, jak też i posła do Rady państwa, do wiadomości i wyraziło im wotum zaufania i podziękowania.

Z Grochowiec nam piszą: W korespondencyi nadesłanej stąd do *Przeglądu* szanowny korespondent zapomniał o najważniejszych czynnikach, które przyczyniły się do założenia kółka rolniczego oraz sklepiku chrześcijańskiego w tej gminie. Sama inicyatywa, to zbyt tania moneta, gdyby jej nie byli gorąco poparli z ambon ks. Julian Kulmatycki gr.-kat. proboszcz miejscowy, tudzież księża wikarzy z Przemyśla. Wszak zaraz na pierwszem posiedzeniu w szkole, powiedzieli bracia Rusini: „Jak Jegomość budut w tim, to wsi budemo!" Co znaczy więc inicyatywa wobec takiego chłopskiego argumentu? Wielebny ks. Julian Kulmatycki gr.-kat. proboszcz, nietylko, że przyjął na siebie obowiązek przewodniczącego, ale sam pierwszy pokazał chłopom brzęczącą monetę, przystąpiwszy z udziałem, a trudził i trudzi się bardzo, bo w 3 tygodniach założono sklepik, co u nas chrześcijan, mających tak mały zmysł do handlu, jest przecież ciekawem zjawiskiem. Przykład to chwalebny, bo wiadomo, że były wypadki, iż księża i nauczyciele greckiego obrządku sprzeciwiali się założeniu kółek rolniczych w niektórych miejscowościach, chociaż przecznony nasz zarząd główny kółek nie prowadzi polityki, a leży mu tylko moralne i materyalne dobro ludu na sercu.

Los księdza. Z okolic Falkenbergu nam piszą: Niektórzy korespondenci poruszyli w *Przeglądzie* sprawę polepszenia płacy duchowieństwa. Oto mały obrazek, oświetlający ty kwestyę, a skopiowany w naszej okolicy. Nie wiadomo, czy gdzie na globie istnieje probostwo o dwóch morgach gruntu z cmentarzem, kościołem i budynkiem plebańskim; ale takie jest w Falkenbergu w powiecie dobromilskim nad rzeką Wiar. Z wyżej opisanych gruntów plebańskich odciąga rząd plebanowi z pensyi 22 zł. i podatków 8 zł. 24 ct., a proboszcz dopłaca do gruntu rocznie 80 zł; niechże mu tedy agronomowie łaskawie obliczą dochody wobec tej okoliczności, że proboszcz oprócz jednej krowy nie ma żadnego inwentarza żywego. Za to ma na cały miesiąc 38 zł. pensyi, płatnej z dołu, na utrzymanie własne i sług, kościelnego, kościoła i plebanii tudzież na robotę w gruntach plebańskich. Ba, ma i w parafii 200 parafian, jęczących pod brzemieniem żydowskich długów. Przytem żyje się tak, iż się cały boży rok nie widzi człowieka inteligentnego i z konieczności milczy się jak kameduła. Ma ten proboszcz i inne przyjemności życia za owych 38 zł. W parafii zbudowany kościół utrzymuje kosztem swej pensyjki. Ale resztki germańskich osadników ani kościoła, ani nabożeństwa, ani różańca nie lubią, wolą one kieliszek, hulatykę, grę w karty z Jankiem lub Lajbusiem. Na ludność polską, pobożną, sarkają, wyśmiewają polski język i zwyczaje, a co gorsza, napadają na bezbronnych Polaków, wyprawiają pijackie awantury na złość proboszczowi, niechcącemu pozwolić na wybryki Germanom, których dobromilscy żydzi licytują co miesiąc. Od 20 października do 27 listopada z małą przerwą pili i hulali na zabój, przyczem bili ludność polską, a i proboszczowi się odgrażali za to, że wzywał starostwo, wydział powiatowy i żandarmeryę o pomoc do zatamowania rozbojów i gwałtów nocnych. Takie to życie ma pociągać młodzież do seminaryów.

Z Janowa nam piszą: Ks. Górawski, proboszcz z ob. łac, wyjednał dla Janowa w Towarzystwie oświaty ludowej „Prawdą a pracą" we Lwowie znaczną liczbę książek, bo nad 100 treści religijnej, moralnej, historycznej, przyrodniczej i t. d. Z tego powodu odbyła się w dniu 2 grudnia w budynku szkolnym uroczystość z wiązania czytelni w Janowie. W sali zjawiło się przeszło 100 osób klasy rolniczej i rzemieślniczej. Zebrani wysłuchali przemowy ks. Górawskiego i wybrali go przewodniczącym czytelni janowskiej, a p. D. Jaworskiego bibliotekarzem, poczem rozebrali książeczki do czytania, przyrzekając korzystać ze wszystkich książeczek czytelni.

Rozdawnictwo zupy rumfordzkiej. Wiadomą powszechnie jest rzeczą, że z nastaniem mroźnej pory roku wzrasta w większem mieście liczba potrzebujących wsparcia ubogich. Gdy pierwszy śnieg upadnie, a mroźny wiatr powieje, spoziera ubogi z trwogą na swoje i swojej rodziny niezbędne potrzeby: cieplejszego okrycia nie ma ani on, ani jego dzieci, izdebka uboga zimna, bo opalić jej nie ma czem, na łyżkę ciepłej strawy nie staje. O tym rozpaczliwym stanie biednych bliźnich naszych wiedzą dobrze Siostry miłosierdzia i członkowie towarzystw dobroczynnych, odwiedzający ubogich w ich mieszkaniach; wie dobrze cała publiczność, która łaskawemi datkami zwykła zasilać pod zimę instytucyę, podającą ubogiemu w najkrytyczniejszym dlań czasie łyżkę ciepłej strawy, zupę rumfordzką.

Instytucyę tę należy nam i w tym roku polecić łaskawej ofiarności i pamięci Lwowian tem gorętszej, że liczba zgłaszających się po zupę co roku wzrasta. Wszelkie datki, bądź w gotówce, bądź też w wiktuałach lub drzewie, przyjmuje z podziękowaniem handel p. Ignacego Drexlera, plac Kapituły liczba 2. Rozdawanie zupy rozpocznie się dnia 27 bm.

Dotychczas złożyli na zupę rumfordzką w han-

dla p. J. Drexlera pp.: Aurelia Strzelecka 2 zł., komitet stowarzyszeń katolickich 10·30, K. T. 10, Ignacy Drexler 10, Koropiowska 1.

Delegatem Towarzystwa kredytowego ziemskiego z okręgu samborskiego wybrany p. Ludwik Balicki, zastępcą jego Maryan hr. Łoś

Fantastyczny projekt powzięło jakieś tajemnicze indywiduum w Krakowie. Oto postanowiło ono założyć towarzystwo pod nazwą „Krajowe towarzystwo dla wytworzenia przemysłu fabrycznego“, które drobniutkimi udziałami po dwie korony ma zebrać tak kolosalne sumy, aby zakładać w całym kraju fabryki, prowadzić je we własnym zarządzie lub w spółce, tudzież brać udział w już istniejących fabrykach na wspólny zysk lub stratę stowarzyszonych. Pierwszy krok już uczyniono, gdyż jak się zdaje, zebrano już tyle koron na udziały, że wydrukowano statut towarzystwa, którego jeden egzemplarz także nam nadesłano. Reszta, jak zapewne spodziewa się ten założyciel, pójdzie jak z płatka, i niezawodnie cieszy się myślą, jakto niebawem cały kraj zaraz jeżyć się będzie kominami fabryk, założonych przez to towarzystwo przy pomocy udziałów po dwie korony. A gdy tych koron zbierze się dwa miliony, wtedy przewidział już założyciel w § 13 statutów, co się stanie. Oto towarzystwo to, obecnie posiadające dopiero wydrukowane statuta, przeistoczone zostanie na towarzystwo akcyjne, no i niezawodnie zacznie wykupywać wszystkie kopalnie w Austryi. Ryzyko członków tego towarzystwa jest bardzo małe, gdyż statut postanawia, że każdy członek odpowiada tylko za swój udział, kto zatem złożył dwie korony, ten odpowiada tylko za drugie dwie. Postanowienie to ma zapewne na celu ułatwić jak najszerszym warstwom przystępowanie do towarzystwa, ale że, jak to mówią, i dwie korony piechotą nie chodzą, więc też niezawodnie każdy dobrze się namyśli, zanim zechce datkiem swoim choćby najmniejszym popierać czyjeś studenckie pomysły. Dodać musimy jeszcze, że ta sama nieznana osoba, która przysłała nam jeden egzemplarz projektu statutu, przysłała nam także gotowy formularz reklamy z prośbą o wydrukowanie. W reklamie tej powiedziano, że Towarzystwo to powstaje za inicyatywą jakiegoś „krajowego towarzystwa handlowego“. Owóż w kraju naszym jest kilka towarzystw handlowych, radzibyśmy więc bardzo wiedzieć, które to z nich stwarza instytucyę o tak kolosalnym zakresie działania. Gdyby to było jakieś towarzystwo ze znaną i poważną firmą, jak np. galic. akcyjne towarzystwo handlowe, to nie działałoby anonimowo, lecz na owym formularzu reklamy przybiłoby bodaj swoją stampilię. To też ostrzegamy jeszcze raz przed przystępowaniem do tego podejrzanego towarzystwa, tem bardziej, że już w pismach prowincyonalnych spotykamy reklamy dla niego.

Głodne dzieci. Tow. przyjaciół uczącej się młodzieży, zajmujące się głodnemi dziećmi, wydało odezwę, z której wyjmujemy jeden szczegół, mianowicie, że w roku ubiegłym Towarzystwo to rozdało 74.531 bezpłatnych obiadów zgłodniałemu biedactwu. Miłosierni ludzie, których pewnie nie zabraknie i którzy zechcą dopomódz Towarzystwu do przebycia kampanii zimowej, w której najwięcej nędzarzy jest do nakarmienia ciepłą strawą, zechcą ofiary posyłać wprost do biura ck rady szkolnej w ratuszu, drugie piętro.

Samobójstwo niemego. We wsi Lgota kościelna w Królestwie Polskiem zdarzył się wypadek samobójstwa w niezwykłych okolicznościach. Syn jednego z gospodarzy Jędrek przed kilkunastu laty spadłszy z dachu stracił słuch i mowę. Powróciwszy do zdrowia pozostał jak dawniej potulnym i pracowitym; czasami tylko w zacięty gniew wpadał i mściwość okazywał. Poskramiano go wszakże łatwo, najskuteczniejszą nad nim władzę miała wychowanica jego ojca Kasia. Dziewczyna osładzała gorzkie chwile kaleki, jak mogła. Zachęcała go do zabaw, zasłaniała od napaści wiejskich malców, broniła przed razami matki, gdy krnąbrnie się kiedy postawił. To też, gdy przyszedł do wieku, w którym mu się wąs puszyć zaczynał, a Kasia została dorodną dziewoją, wyręczał ją najchętniej w robocie i znaki jej w lot pojmował. Ale Kasia pewnego razu ciężko zachorowała. Zachorowała na ospę, której nie przetrzymała i umarła. Jędrek strasznie swój żal objawiał: nie płakał, lecz ryczał; darł na sobie odzież i tarzał się po ziemi, gdy zwłoki na mary złożono. „Kha..a..ha!“ krzyczał u grobu, gdy trumnę zasypywano. Nikt go pocieszyć nie umi[...] a kiedy go gwałtem do domu ciągniono, wyrwał [...] przypadł do mogiły i zaczął ją rękami roz[...] Kilku parobków go ubezwładniło i u rowadz[...] bramy cmentarza. Okropny był Jędrek[...] lgockie dziś jeszcze pozostają pod wraże[...] paczy, jakiej się skrępowany niemow[...] Sprowadzono go do domu i zamknięto [...] Tak radził sołtys i dobrze: Jędrek się [...] drugi dzień nie poznano niemowy, t[...] czny go zmienił. Wyszedł ponury[...] nie chciał, do ust jadła nie brał. [...] się na wsi; biegł na cmentarz. [...] tąd przez długi czas biegające[...] samym kierunku, w łachmana[...] brudną, a głową w kołtunach[...] dawno, właśnie w mroczny po[...] sieni swojej ujrzał wiszący n[...] usypana była mogiła Kasi, [...] jesienny, niby kloc jakiś... [...] Nad grobem wisiał: Jędre[...]

Najnowszą zabaw[...] jest modelowanie z gliny[...] gości otrzymuje garść [...] do modelowania i model[...] fantazyi tych dyletantó[...] do wybuchów śmie[...] utwór, mający być p[...] kota, lub tem podob[...] zyskuje na tych pr[...] bawa, aniżeli bacc[...] w modzie. Tylko [...] z nowej zabawy.[...]

O Eugeni[...] dzeniu akadem[...] czytał pracę o[...] między innem[...] na pierwszy[...] jakie dochod[...]

— Bard[...] nią z wdzie[...] się żywio[...]

Pa[...] zasług, [...]

— Tak, ale ja — jąkał się Labiche.

— Słuchamy pana... Wszak dopiero co miałeś zrobić jakąś uwagę, może zarzut. .

— Zarzut? Cóż znowu!

— A więc co chciałeś powiedzieć?

— Ja chciałem... chciałem prosić jeszcze raz... groszku.

U niezależnych. Z Paryża donoszą:

Przy ulicy Le Peletier, tuż około bulwaru włoskiego, istnieje niewielki salon, przy sklepie *kunsthändlera* Le Barc de Bouteville'a. Ósmy to już raz kilkudziesięciu młodych malarzy, składając stowarzyszenie „niezależnych“, urządza w tym saloniku wystawę impresyonizmu i symbolizmu. W tym roku wystawa Boutteville'a jest dla nas tem ciekawsza, że jedno z poczestnych na niej miejsc zajmuje młody nasz rodak, p. Mirosław Peske. Rodem z gubernii podolskiej, po krótkim pobycie w Warszawie przybył przed trzema laty na bruk paryski i wstąpił do szkoły sztuk pięknych, gdzie był przez dwa lata uczniem Julliena; uniesiony jednak prądem impresyonistycznym, o którym uformował sobie pojęcie oryginalne, zerwał z nauczaniem tradycyjnem, wyjechał na południe, nad morze, zagłębił się wyłącznie w kontemplacyi natury i przywiózł na początek — sześć południowo-morskich krajobrazów. W białych ramkach, świeże, jasne, niewielkie, uderzają one widza odrazu i pociągają uwagę.

Wyścigi palaczy urządzono tymi dniami w Brügge. Inicyatywę podjął klub palaczy, a wyścig odbył się nie pod hasłem: „Kto prędzej“ ale „Kto powolniej“. Każdy z współzawodników otrzymał długą holenderską fajkę, nałożoną czterema gramami tytoniu. Zapalono je jednocześnie, a fajce nie wolno było dać zgasnąć, nie wolno było z ust wyjmować i bez przerwy trzeba było pociągać dym a tytoń wypalić do szczętu. Pierwszą nagrodę otrzymał ten, który palił swoją fajkę 67 minut drugi potrzebował na to 66 i pół, trzeci 63 minut.

Stan powietrza. T. o 8 [illegible] — $1^1/_2$° R. w po. — 0° R. Bar. 768. Spada. Pochmurno.

Trudny sąd.

— Pocałunek, panno Jadwigo, bez miłości jest niby potrawa bez soli.

— Trudno mi osądzić, ponieważ nigdy w swem życiu..

— O, nie wątpię, proszę pani!

— ...nie jadłam potrawy bez soli.

Teatr. Dziś we środę „Ciotka Karola“, krotochwila w 3 aktach Tomasza Brandona. We czwartek „Rycerskość wieśniacza“, rozpocznie „Złoty cielec“ i „Na przekór“. W piątek koncert Franciszka Ondriczka. W sobotę po południu „Gwiazda Syberyi“, wieczór „Żyd wieczny tułacz“.

Literatura i Sztuka.

* **„Za cudze winy“**, powieść współczesna przez Anatola Krzyżanowskiego. Lwów. Jakubowski i Zadurowicz 1894.

Komuś, coby chciał łatwo wyrobić sobie wyobrażenie o technice tej powieści, o sposobi[...] sania autora, wystarczyłoby dać do przes[...] taki ustęp, przedstawiający decydujący [...] chowy u bohaterki powieści. Czyta[...] łaż więc koniecznie zejść d[...] niej siłą wyciągać? Mi[...] swoją, której posiąść [...] pragnęła, mąż bow[...] zdradą płacący [...] walczono“. [...] charakterów [...] które bez [...] tle przed[...] dawnej [...] skiej, [...] wszy[...] wieść[...] takie [...] należ[...] owsze[...] nie [...] dzi[...]

pożyczkę zamarkowano, iż udział w jej sfinansowaniu bierze także dom Rotszylda w Londynie. To zaznaczenie udziału targu londyńskiego w przeprowadzeniu tej operacyi ma swe znaczenie. Od lat 10 bowiem z górą targ londyński zamknięty był dla walorów rosyjskich, gdyż wybuch konfliktu afgańskiego tak podziałał na opinię publiczną w Anglii, że wszyscy kapitaliści pozbyli się papierów rosyjskich. Obecny zatem udział pierwszej firmy londyńskiej jest symptomem polepszenia się stosunków między Anglią a Rosyą. Nowa pożyczka rosyjska będzie $3^1/_2$owa. — Owóż każdemu nasuwa się pytanie dlaczego rosyjski minister finansów wybrał ten typ pożyczki skoro ostatnia 3%owa pożyczka rosyjska dosięgła niespodziewanie wysokiego kursu $89^1/_4$.

Owóż sfery finansowe przypuszczają, że p. Witte dlatego stworzył typ $3^1/_2$owych papierów rosyjskich, że spodziewa się, iż papier ten osiągnie niebawem kurs pari, a wtedy zamyśla zapewne przeprowadzić konwersyę wszystkich 4%wych papierów rosyjskich na $3^1/_2$owe, co oczywiście przyjdzie o wiele łatwiej, aniżeli konwersya z 4% na 2%. Uderzającym jest także pośpiech, z jakim p. Witte w tej sprawie działał. Widocznie chciał wyzyskać peryod nadzwyczaj niskiej stopy procentowej, którą po części sam wywołał swemi ostatniemi ogromnemi wysyłkami złota za granicę, a może także chciał uprzedzić inne państwa, zamierzające zaciągnąć znaczne pożyczki, tj. Francyę i Chiny. Nasza giełda była dziś wybornie dysponowana. Wprawdzie obroty były nie wielkie, ale kursa stale szły w górę. Oprócz korzystnych wpływów z zagranicy, oddziaływało na naszą giełdę wybornie także stosunkowo dość znaczne potanienie monet złotych. Spekulacya na olbrzymią skalę odbywała się dziś w akcyach tramwaju tutejszego, które skupowane w ogromnych partyach przez kilka pierwszorzędnych firm, podskoczyły w cenie o 20 zł. Spekulacyę tę motywowano tem, iż na wszystkich liniach tramwaju zaprowadzony ma być na pewno ruch elektryczny. Bardzo ożywionym był dziś także targ rent, tudzież innych walorów lokacyjnych.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 398·50 węgierskie 494·50, Anglobanki 178·75, Uniony 315·—. Bankvereiny 152·40, Länderbanki 279·90, Ludwiki 216·80, Czerniowieckie 291·—, Elbetnale 275·—, Renta papierowa 100·05, srebrna 99·85, austryacka złota 124·45 4% austr. renta wal. kor. 100·—, węgierska złota 123·50, 4% węgierska renta wal. kor. 98·05, dukat 5·80—, 20-frankówka 9·90—, marki 12·20—, ruble $1·34^3/_4$.

Wiedeń 3 grudnia. [...] 16·10.

§ **Sprawozdanie** [...]-loczysk nam pi[...] szego targu ni[...] cej apatycz[...] tek [...]

onie stosunkowo znacznych ilości zboża, które po niskich cenach sprzedają wprost do młynów. Pszenicę zwłaszcza w celnych gatunkach kupowano dość chętnie. Żyto natomiast słaby napotykało odbyt po cenach cokolwiek niższych. Jęczmień przy słabych obrotach nie zdołał się również w cenie utrzymać.

Płacono pszenicę białą 7·10 do 7·30, czerwoną 7·— do 7·20, żółtą 7·00 do 7·20, żyto 5·50 — 5·80, jęczmień browarny 6·20 do 6·75, na paszę 5·— do 5·50; owies 5·35—5·75; rzepak 0·00 do 0·00; koniczyna czerwona 50—70 zł. Wszystko za 100 kilogr.

Bank galicyjski dla handlu i przemysłu.

§ **Z wiedeńskiego targu bydła.** Na poniedziałkowy targ przypędzono 4761 sztuk bydła, a w tej liczbie z Galicyi 531 sztuk opasowych i — chudych. Nie sprzedano 62 sztuk.

Płacono: galicyjskie 55 do 65·00 zł., węgierskie 55—68·00 zł., z innych krajów koronnych 55 do 70·00 zł., krowy 24·50—35 zł., za 100 kilo żywej wagi.

Bydło chude od 25·— do 52 zł. za sztukę.

Telegramy „Przeglądu“.

Wiedeń 5 grudnia. Komisya dla reformy wyborczej odbyła wczoraj trzecie posiedzenie. P. Piniński podał do wiadomości zebranych uchwałę Koła polskiego, które przyjęło za podstawę obrad znane zasady rządu, z uwzględnieniem projektu p. Rutowskiego. Mówca prosi, aby wybrano subkomitet, celem gruntownego zastanowienia się nad tymi projektami, jednakże Koło polskie nie uważa ich bynajmniej za swój nienaruszalny postulat, którego zmienić nie można. Polacy jak przedtem tak i teraz stoją na stanowisku autonomistycznem, i pamiętają o tem, że Galicya w dzisiejszej ordynacyi wyborczej jest skrzywdzona, wszelako uwzględniając polityczną konieczność stworzenia rychło reformy wyborczej, gotowi są przyjąć kompromis. Następnie dwaj młodoczesi pp. Slawik i Brzorad występowali przeciw piątej kuryi a przemawiali za powszechnem prawem głosowania. P. Romańczuk żądał równomiernego rozdziału mandatów. P. Stadnicki przemawiał w tym samym duchu co p. Piniński i zaznaczył z naciskiem, że Polacy ze względu na interes państwa gotowi są wziąć udział w pracy nad stworzeniem reformy wyborczej. Co do dwóch kwestyi, zdaniem mówcy, panuje w łonie koalicyi zupełna zgodność zapatrywań, a mianowicie, iż należy stworzyć obszerną reformę wyborczą, ale odrzucić wszelkie wnioski, zmierzające do wprowadzenia powszechnego prawa głosowania.

Wels 5 grudnia. Cesarz przybył tu wczo[...] dworcu powitał go arcyksiążę Franci[...] małżonką swą, arcyksiężną [...]

Lwów dnia 5 grudnia ([illegible] Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 215·50 do 218·50 Kolej Lwow.-Czern. Jassy po 200 zł. [illegible] 289.50 do 292.50 Banku hipotecznego po 200 zł. w. a. 440·— do 450·—

Listy zastawne za 100 zł. Banku hipot. gal. 5% losow. w 40 lat. 101·10 do 101·80, 5% z 10% prem. 110·— do 110·70, [illegible] los. w 50 lat. 100·— do 100·[illegible] Banku krajowego [illegible] los. w [illegible] lat. 100·10 do 100·80 Banku krajowego 4% los. w [illegible] lat. 96·50 do 97.20 [illegible] kredyt. gal. [illegible] (I. emisya) 98·— do 98·75. [illegible] los. w [illegible] los. 97·30 do [illegible]8·—, 4% los. w [illegible] lat. [illegible] 8 do [illegible]7·50. [illegible] los. w [illegible] lat. —·— do —·—

Obligi za 100 zł. Galic. funduszu propinacyjnego 4% 96.80 do 97.50, Bukow. funduszu propinacyjnego [illegible] 101·70 do —.— Kom. banku krajowego 5% [illegible] 102·— do 102·70, Pożyczki krajowej 6% 106·50 do —. 4½% 100·— do 100·70 4% [illegible] 6·— do 96·7[illegible] [illegible] z roku 1893 96·20 do 96·90.

Monety. Dukat cesarski 5·84 do 5·94 Napoleon d'or 9·85 do 9·95 Półimperyał 10·15 do —.— Rubel srebrny oraz papierowy 1.33 —do 1.35 —. 100 [illegible] 60·75 do 61·25

[...] grudnia, (godz. 11 w południe [...] węgierskie —·—, Anglob. [...]vereiny —.—, Län[...] [...] 232.—, Staats[...] [...] Elbetnale —.— [...] —.—

68)

VERA

przez *Florencyę Marryatt.*

(Ciąg dalszy).

— Vero! — przemówił Gordon głosem cichym i pełnym przejmującego do głębi uczucia.

— Gordon! — odrzekła tak smutno, apatycznie, bezdźwięcznym tonem, tak niepodobnym do porywającego uniesienia, z jakiem niegdyś wymawiała drogie sercu imię, że echem bólu odbiło się ono w obu ich piersiach razem.

— Czy pozwalasz mi mówić do siebie? — zapytał prosząco.

— Słucham — odrzekła z prostotą.

— Chciałem ci podziękować.. choć na to słów ludzkich nie starczy... za to, coś uczyniła dla mego synka — zaczął pospiesznie. — Ocaliłaś życie jego, a on jest wszystkiem dla mnie dziś na świecie... jedynym skarbem, jedynem ukochaniem mojem, jedynem dobrem, które mi pozostało po utracie wszystkiego.

— Rada jestem, że znalazłam się tam w porę, aby go uratować — odparła Vera jeszcze spokojnie, choć dławiące uczucie w gardle i znużony ruch, z jakim przytuliła się do ściany, zdradził wzmagające się wzruszenie.

— On kocha cię, Vero; słyszałem o tem, zanim jeszcze dowiedziałem się, kim jesteś. I ty lubisz go także... nieprawdaż, że lubisz moje biedne dziecko?

— Byłoby dziwnem, gdyby serce moje nie lgnęło do wszystkich obcych dzieci, kiedy sama jestem bezdzietną — rzekła cicho, takim beznadziejnym głosem, że Gordon nie mógł powstrzymać się dłużej.

— Vero, Vero! — zawołał z wybuchem, chwytając jej ramię — nie mów w ten sposób, bo przyprawisz mnie o szał rozpaczy i zgryzoty! Tyś poświęciła siebie, naraziłaś swoje życie, aby uratować moje dziecko, jedyną istotę, którą wolno mi dziś kochać otwarcie; a ja, jam cię odarł ze wszystkiego!

— Tout est pardonné, tout est oublié — odparła bardzo powoli, choć każdy nerw drgał w całem jej ciele od wysiłku rozmawiania z nim.

— Czy tylko prawdę mówisz? — zapytał. — Czyś przebaczyła i zapomniała, Vero? Ja bo nie mogę, Bóg widzi! Z każdym dniem ciężar staje się nieznośniejszym, a pamięć winy mojej straszniejszą!

— To stało się tak dawno — szepnęła.

Nie mogła zdobyć się na powiedzenie więcej. Czuła, że na pierwszą wzmiankę o przeszłości cały sztuczny jej spokój opuści ją w jednej chwili.

— Że przebolałaś już ten zawód i pogodziłaś się z nim, przekonawszy się, żem niegodzien był twojej miłości, ani żalu — podjął gorączkowo. — Ha! — dodał, wzdychając — może to i lepiej. Powinienem rad być z tej zmiany. Jam się także zmienił, Vero. Nie zapomniałem jak ty i nie przebaczyłem sobie i nigdy nie przebaczę, ale z tem wszystkiem jam dziś inny człowiek, niż ten, którego znałaś tam w górach Neilgheryi.

Na te słowa ona szeroko otworzyła smutne oczy i spojrzała mu prosto w twarz po raz pierwszy. Widziała osunięte kąty śmiejących się niegdyś ust; policzyła głębokie zmarszczki, jakie trawiąca troska wyryła na gładkiem jego czole; popatrzyła na oczy, te piękne błękitne oczy, z których niebo świeciło dla niej, dziś zapadłe i przyćmione; zauważyła ten wyraz przygnębienia, o którym wspominała jej już poprzednio piastunka, a który tak dziwnie odbijał od jego młodzieńczej postaci, a w miarę jak patrzyła, twarz jej mieniła się z bólu, i podniósłszy się zwolna, stanęła przed nim wyprostowana, chociaż chwiejąca się na nogach.

— Tak, zmieniłeś się, Gordonie... zmieniłeś okropnie, zarówno jak i ja — przemówiła smutnie.—Ty i ja nie jesteśmy już dziś tymi samymi ludźmi, którzy znali się niegdyś, przed laty. I dlategoto właśnie, że musimy pozostać sobie obcymi... nietylko pozornie, ale rzeczywiście... chcę wzamian za to, żem stanęła pomiędzy śmiercią a dzieckiem twojem, prosić cię o jednę łaskę.

— O, mów, mów, Vero! — podchwycił Gordon skwapliwie. — Nie ma rzeczy, którejbym nie uczynił dla ciebie. Gdyby chodziło o cały mój majątek, o życie, poświęciłbym je bez wahania.

— Nie żądam tak wiele — odparła z rozdzierająco smutnym uśmiechem. — Chcę cię tylko prosić, abyś do końca naszej wspólnej podróży, która potrwa już tylko dni kilka, nie szukał więcej widzenia się ze mną... abyś unikał mnie... nie mówił do mnie.

— Abym nie mówił z tobą, abym cię unikał, Vero! Wtedy, gdy zawdzięczam ci tak wiele.. tak wiele! O, Vero, czy to być może?!

— Dlatego właśnie, że, jak podoba ci się przyznać, oddałam ci pewną przysługę, tak być musi, Gordonie. W imię tej miłości, którą niegdyś miałeś dla mnie, w imię wszystkiego, co masz najświętszego na świecie, zaklinam cię, uczyń zadość mojej prośbie.

On ukrył na chwilę twarz w obu dłoniach, mocując się z postanowieniem, potem wstał zwolna, aby odejść.

— Nie mam nic więcej do powiedzenia — rzekł złamanym głosem. — Grzech przeszłości ciąży na mnie jednym; oby na mnie samym skupiła się cała kara! Niech Bóg czuwa nad tobą, Vero, a jeżeli w sercu twojem litościwem znajdzie się jeszcze modlitwa za mnie, to proś Go, aby choć w godzinę śmierci wejrzał na poniżenie moje i zgryzotę i ulitował się nademną.

To mówiąc, odwrócił się i odszedł, a ona patrzyła za nim, gdy zwolna skręcał na ciemne schodki wiodące na górę i czuła, że wraz z nim światło jej życia zachodzi na zawsze, że noc ciemna, straszna, niczem nieprzejrzana zapada nad nią, i z jękiem bólu osunęła się na ziemię, mówiąc sobie, że już wszystko... wszystko skończone i że już nigdy go nie zobaczy.

ROZDZIAŁ XVI.

Gordon mówiąc Verze, iż był zmienionym z gruntu człowiekiem, był w zupełnej zgodzie z prawdą, a zmiana ta dotyczyła zarówno całej jego moralnej istoty, jak i powierzchowności. Dwa lata ostatnie, które przebył, czując z dniem każdym wzrastający niesmak do życia, do siebie samego i do wszystkiego co go otaczało, otworzyły mu oczy na błędy przeszłości i na cały ogrom popełnionej przez siebie winy. Chociaż poślubiając lady Różę Sellon, czuł, iż spełnia czyn niehonorowy i okrutny, wmawiał w siebie, że czas złagodzi tak dla niego, jak dla Very boleść rozstania. Spotkanie się z nią w Brüssenburgu przekonało go, że nadzieja ta była płonną i że lata, ani okoliczności nic nie wpłyną na zabliźnienie rany jej serca. Gdy ujrzał twarz jej napiętnowaną niemem cierpieniem, gdy usłyszał jęk bólu wyrywający się ze zrozpaczonej jej piersi i widział cichą rezygnacyę przeistoczoną w pogardliwą dumę zranionej w najświętszych uczuciach swoich kobiety, Gordon Romilly po raz pierwszy poznał całą ohydę swego postępku. Wyobrażał sobie, że biedna, opuszczona przez niego dziewczyna, cicho wśród dalekich gór opłakuje swój zawód, czerpiąc stopniowo ukojenie i pociechę w obowiązkach i zajęciach domowego życia, a przekonał się, że tam, gdzie zastał spokój i ciche szczęście rodzinne, zostawił za sobą same gruzy i popioły; że prosta, wiejska dziewczyna, która rozkosz znajdowała w różach i pszczółkach i w całej piękności Bożego świata, zamieniła się skutkiem jego niegodziwości w hardą, chociaż złamaną na duchu kobietę, która świadoma strasznej krzywdy sobie wyrządzonej, dumnie jednak odrzucała ofiarowaną przez niego pomoc, zabraniając mu wszelkiego współudziału w dalszych swoich losach.

Od tej chwili Gordon Romilly, który od czasu ożenienia się daremnie silił się odzyskać spokój ducha, utracił go do reszty i nigdy już nie zakosztował przyjemności życia. Widział wciąż przed sobą Verę uciekającą w noc ciemną... uciekającą przed nim, nie mówiącą dokąd... może w przepaść zatracenia i zguby, którą on otworzył pod jej stopami i za którą cała odpowiedzialność ciążyć będzie na nim jedynie.

Ta myśl, ten niepokój w połączeniu z miłością spotęgowaną jej widokiem, miłością, którą daremnie usiłował stłumić w sercu, a która wybuchnęła ze wznowioną siłą, takiem brzemieniem zaciążyła na jego umyśle, że chwilami ogarniał go obłęd rozpaczy. Chodził jak nieprzytomny, zaczął stronić od ludzi i stał się wkrótce podobnym do własnego cienia.

Nic go już teraz nie cieszyło na świecie; nawet jedyne pomyślne wydarzenie w ciągu ubiegłych dwóch lat: przyjście na świat syna, nie rozweseliło jego duszy, bo gdy pomyślał, że ta drobna dziecina wraz z podobieństwem do niego, odziedziczyć może najgorsze popędy ojcowskiej natury, truchlał na samo przypuszczenie tego, co ją czeka.

Choć spóźniona jego skrucha w niczem już nie mogła odmienić doli nieszczęsnej istoty, którą skrzywdził, jednakże na nim samym wywarła niepomierny wpływ. Widząc błędy swoje, stał się pobłażliwszym na cudze winy, a zwłaszcza na usterki żony swojej. Pożycie jego z lady Różą nie było nieszczęśliwem; przeciwnie, gdyby nie cierń wiecznej zgryzoty tkwiący w jego sercu i gdyby nie miłość, którą oddał tamtej kochance młodości swojej, charaktery ich mogłyby się były wzajemnie dopasować do siebie, bo Gordon Romilly zbyt był obojętny z usposobienia, aby się przejmować lada drobnostką.

(Ciąg dalszy nastąpi).